

## Kaplica Magellana

Autor tekstu: **Maciej Psyk**

Zdezelowany autobus krztusząc się i parszcząc, wolno, lecz jakby niestrudzenie, wspinał się wąską dróżką po górskiej przełęczy. Upał lejący się z równikowego nieba ogrzewał go niczym wielką metalową puszkę. Brak klimatyzacji i temperatura wiekowego silnika dająca o sobie znać spod podłogi dopełniały reszty — siedzący w środku ludzie z trudem wytrzymywali duchotę, ratując się piciem ogromnych ilości wody mineralnej, kupionej na ostatnim przystanku cywilizacji — w wiosce z której w ostatni etap podróży wyruszyli przed godziną.

- Już niedaleko! Za tą górą! — Krzyknął na cały autobus kierowca, autochton wynajęty przez biuro podróży za sówitą zapłatą. Nic dziwnego, prowincja Phata-Szun była najniebezpieczniejsza w całym tym kraju gdzie nawet w stolicy diabeł mówi dobranoc. Separatyści czy — jak ich nazywał tutejszy rząd — bandy terrorystyczne — od kilku lat prowadzili tu regularną wojnę domową z oddziałami rządowymi, choć oficjalna nomenklatura z uporem godnym lepszej sprawy nazywała to "*napadami kryminalistów w celu zdobycia broni*".

Świeżo mianowany profesor Pierre Calen, szef wyprawy archeologów francuskich myślał tylko o tym, żeby zrobić tu swoją robotę ze swoimi ludźmi i wracać do Paryża zanim jakiś obdartus z maczetą utnie komuś głowę. No i o córkach, które dzięki grantowi rządowemu za odwalenie tej roboty na końcu świata będzie mógł wysłać na studia za Kanał, do Oxfordu. Bliźniaczki. Koszty. Naraz. Trudno. Dlatego ten wyjazd. Siedzeniem na uczelni budżetu domowego nie zapnie. — Ale, do ciężkiej cholery — pomyślał Calen — z tymi szwabskimi turystami od przeżyć ekstremalnych to już naprawdę przesada. Powiem o tym osobiście ministrowi nauki i niech zjebie choćby samego kanclerza. Do czego to doszło! Niedługo bogate snoby wejdą „na barana” na posąg „Dawida” Michała Anioła albo zrobią grilla w jaskini z pradawnymi rysunkami hominidów.

Około tuzina turystów, głównie Niemców, zabrało się razem z nimi komercyjnie, za ciężkie pieniądze w firmie od organizowania przeżyć ekstremalnych. "*Kaplica Magellana w sercu dżungli pełnej terrorystów — tylko dla prawdziwych twardzieli*" i tak dalej w tym klimacie, byle paru snobów pozbawić nadmiaru pieniędzy. Obiecali, że nie będą przeszkadzać w pracach naukowych i chcą tylko pstrykać zdjęcia i robić filmy na pamiątkę, ale Calen i tak był wściekły. Jedyne pocieszenie, że posłuch miał wśród nich wysoki, pięćdziesięcioletni na oko Herr Meier, członek zarządu Frankfurter Bank. Światowiec, władza biła od niego z gestów, ruchów, wzroku. Z fizjonomii zgoła. Przynajmniej jego nie można było zakwalifikować do kategorii bogatych i otyłych troglodytów o mentalności pożeracza hot-dogów. Calen miał jego słowo w cztery oczy, że będzie miał na oku „swoich” i w razie czego przemówi takim do słuchu. Teoretycznie swoją władzę zostawił we Frankfurcie, ale Francuz czuł intuicyjnie, że posłucha go każdy z „jego” grupy. On z kolei w dziewięcioosobowej grupie archeologów miał władzę formalną i znał swoich ludzi jak własną kieszeń. Pracowali w Instytucie Archeologii od lat. Część znał jeszcze jako swoich studentów.

Byli jeszcze zakonnicy, ale z ich strony nie można raczej było spodziewać się kłopotów. Nie odzywali się ani do jednej, ani do drugiej grupy, ani nawet do siebie samych. Nie filmowali przyrody za oknem jak turyści, nie czytali, ani nie rozwiązywali krzyżówek jak archeolodzy tylko tępo patrzyli przed siebie i klepali paciorki. Wszyscy w bezsensownie grubych i długich habitach. — Chyba tylko po to, żeby więcej się nacierpieć w tym żarze. — Pomyślał Calen i pociągnął ostatni łyk ciepłej już wody mineralnej. Na początku wyprawy, w stolicy kraju, próbował z nimi rozmawiać, ale byli nieufni i niewiele się od nich dowiedział poza tym, że są misjonarzami i jadą obejrzeć „kaplicę Magellana”. Dopiero podczas jednego z postojów przypadkiem usłyszał jak gorączkowo mówią między sobą słowo „pielgrzymki”. Ach więc to tak! Wszystko ułożyło się w całość i Calen nie musiał już pytać o nic więcej. Trzy grupy ludzi zebrały się w jednym autobusie, jadąc w to samo miejsce w trzech celach: archeolodzy jako naukowcy na zlecenie UNESCO; bogaci turyści żeby przeżyć niezwykłą przygodę, której nie ma w zwykłych katalogach i poczuć w sobie choć na trochę pierwotną męskość z początków cywilizacji, która wyłoniła się bezpośrednio z królestwa zwierząt; tę atawistyczną siłę, którą cywilizacja dzisiejsza nie tylko bezpowrotnie straciła, wywołując kryzys tożsamości samca Zachodu, ale którą wyklęła jako hańbę cywilizacji wiedzy, zostawiając ją w najniższych warstwach społecznych dla odrzutów wyścigu szczurów, i tak wypieranym przez robotyzację

produkcji lub ku rozrywce w boksie, będącym jednak jedynie show-biznesem; paradoks, że trzeba dojść do elity „białych kołnierzyków”, aby móc pozwolić sobie finansowo na powrót do natury i przekłętej cywilizacji siły; i wreszcie miejscowi misjonarze, przybyli tu parę lat wcześniej z Polski, jadący zbadać, prawdopodobnie na polecenie Watykanu, możliwości uruchomienia w „kaplicy Magellana” miejsca turystyki pielgrzymkowej.

- To tam! To tam! — Krzyknął po wyjeździe z ostatniego wirażu kierowca, pokazując ręką na górę nad którą dumnie powiewała flaga narodowa Zjednoczonego Księstwa Ugrofinstanu. Naukowcy z miejscowego uniwersytetu przeprowadzili wstępne badania z których wynikało, że w grocie w XVI-tym wieku Europejczycy zbudowali kaplicę chrześcijańską. Potężny wybuch podwodnego wulkanu dwieście lat później utworzył zaś wyspę, która zatkała cieśninę, którą przy płynęli. Dlatego dostać można było się tylko łodem a kaplica przez pięć stuleci czekała na odnalezienie. Księżę poprosił o pomoc UNESCO i wnet świat zelektryzowała wiadomość o odnalezieniu „kaplicy Magellana”. Gdyby ekipa profesora Calena potwierdziła tę hipotezę byłaby to światowa sensacja. Jak na złość doczepili się od razu turyści no i znakomity interes zwiertzył Watykan wysyłając swoich ludzi we własnych celach. Rząd księcia nie był w stanie zabezpieczyć ani prac wykopaliskowych, ani nawet bezpieczeństwa naukowcom. Niestety, jak na złość kaplica znajdowała się w bardzo niestabilnym rejonie Phata-Szun gdzie partyzantka poczyniała sobie coraz śmielej i w krwawych walkach zginęło już po kilkaset osób po obu stronach.

Autobus ostatnią prostą miał z górki. Tubylec włączył luz i pozwolił mu stoczyć się bezwładnie ze wzniesienia. Powoli mijali dżunglę, pozwalając gałęziom drzew smagać pojazd na wąskiej ścieżce. Wreszcie zatrzymali się. Autobus zarżał jak umęczony zbyt długą podróżą koń i znieruchomiał. Wszyscy zabrali to co mieli ze sobą i wyszli na ścieżkę. Kierowca wyrzucał z bagażnika bagaże podróżne wszystkich grup. Ostatni etap — kilkaset metrów z boczem góry w dół — przeszli jeden za drugim. Najpierw tubylec, potem Meier, turyści, Calen, archeolodzy i misjonarze prowadzeni przez prawdopodobnie przeora.

Miejsce odkrycia było oznaczone flagami i resztkami obozowiska. Calen wątpił, by grupka naukowców z tutejszej stolicy miała dość wiedzy i sprzętu do poważnych badań. Raczej miał nadzieję, że nie zepsuli tego co zepsuć mogli. Kaplica mieściła się w jaskini znajdującej się — w czasach Magellana - blisko linii brzegowej. Żeglarze po wielu tygodniach tułaczki przez ocean zobaczyli łód a gdy szczęśliwie na nim stanęli — przed deszczem i śmiertcionośną nocą ochroniła ich jaskinia. Reszta była oczywista. Tubylec nie chciał tam wejść. Bał się gniewu swoich opiekuńczych duchów za oglądanie obcych bogów. „Jeśli ojcuzłukowie są dobrzy w tym co mają tu robić to przed powrotem zacznij z nimi dyskutować o transsubstancjacji i wniebowstąpieniu” — pomyślał Calen i pierwszy wdrapał się na skałę. Odwrócił się do współpracowników, wziął głęboki oddech i zniknął w czeluści. Za nim podążyli inni.

Jaskinia była obszerna i wysoka. Światło słoneczne docierało do środka bardzo skąpo i tylko o zachodzie słońca. Francuzi zaczęli szukać latarek, ale Niemcy byli szybsi. Jeden z nich włączył potężny szperacz i ciemność przeszył słup światła. Zbudzone nietoperze zaczęły fruwać dookoła popiskując żałośnie na tak brutalne wdarcie się do ich świata. Ich czarna chmura przesłoniła ścianę i nawet szperacz nie mógł się przebić przez niespodziewanie utkany mur. Niemiec już chciał oświetlić inną część jaskini, gdy nagle żywy dywan skończył się powracając na półkę skalną i oczom przybyszów ukazała się pięć stuleci skrywana tajemnica. Światło padało wprost na przybity do ściany krzyż. Drewno na pierwszy rzut oka było bardzo stare a jednak konstrukcja pozostała nienaruszona. Zardzewiałe gwoździe wciąż utrzymywały oheblowane przez Europejczyka deski. Po chwili na poziomej belce dostrzegli rowki zrobione ręką człowieka. Profesor podszedł dwa kroki. Pionowa, zygzak, drugi zygzak i druga pionowa.

- INRI. — Przeczytał na głos domyśliwszy się. Wszyscy rozumieli znaczenie znaleziska, cokolwiek ono dla nich było. Światową sensacją archeologiczną, celem niebezpiecznej wyprawy czy dowodem pierwszej obecności religii w tej części świata. Nagle całkowitą ciszę przerwało kłąśnięcie. Przeor padł na kolana. Za nim wszyscy misjonarze. Zaczęli jakąś modlitwę po łacinie. Głos im się rwał, szczególnie staremu. Niemiec przesunął snop światła na podłogę. Również naukowcy znaleźli swoje i jaskinię oświetliło wiele krzyżujących się ze sobą snopów światła. W kącie leżały resztki obozowiska żeglarzy - pochodnie, resztki okryć i jakieś przedmioty, którymi mieli się zająć archeolodzy. Nagle pani doktor Justinne Rembur krzyknęła ze zgrozy. Po przeciwległej ścianie jej latarka odkryła kościotrupa. Kim był? Na co umarł? Zmarł na oceanie czy już na wyspie? A może został zabity przez dowódcę za próbę buntu? A nade wszystko — czy żeglarze spotkali tubylców, nie mówiąc już o współżyciu z autochtonkami? Na ekipę Calena czekało tu mnóstwo pasjonującej pracy a jej wynik mógł

zmienić podręczniki historii. Szczerze mówiąc Francuz po oswojeniu się z myślą o wadze znaleziska przestał żałować tego wariackiego kontraktu i widział się już jak uśmiechnięci dłoń ściskają mu prezydent, sekretarz generalny UNESCO, rektor prosi o pozostanie na uczelni a on — odznaczony Złotym Krzyżem Republiki, profesor Pierre Calen — ma swoje pięć minut we wszystkich programach i gazetach.

Słudzy Pańscy też się, widać, oswoili z odkryciem, bo wstali i posłusznie wyszli z jaskini wyraźnie uspokojeni. Za nimi, zgodnie z obietnicą Herr Meiera, turyści. Umówili się, że Calen pozwoli im wejść po zakończeniu prac a do tego czasu wszyscy rozbijają namioty przed jaskinią.

Tak też zrobili. Do końca dnia przygotowywali obóz. Noc była gorąca, duszna. Dżungla żyła swym nocnym życiem wydając dźwięki setek żyjących w niej zwierząt. Być może roznosiła wiadomość o pojawieniu się rzadko tu widzianej istoty władającej ogniem, który strzegł obozowiska i śmiałków, wydzierającej jej pradawne tajemnice.

Rano wszyscy ustalili swoje zajęcia. Naukowcy zaczęli pracę w jaskini. Turyści wysmarowali się błotem i bawili w wojnę zamiennie z polowaniem. A duchowni rozeszli się robić zdjęcia okolicy i zapełniać uwagami notesy, co miało być ich głównym zajęciem do powrotu do cywilizacji. Wieczorem spotkali się przy ognisku. Myśliwi ofiarowali wszystkim upolowane zwierzęta i ryby z rzeki. Szczególnie dobre kąski otrzymywała doktor Rembur, co sprawiło jej podwójną przyjemność, gdyż miała także fakultet z antropologii. Okazało się, że w jaskini spoczywały szczątki marynarza, który przybył na łód chory i skrajnie wyczerpany szkorbutem. Został pozostawiony przez towarzyszy. Wyskrobał to gwoździem na desce. Prawdopodobnie wkrótce potem umarł sam jak Robinson Cruzoe, powalony tropikalnym klimatem. Nadal nie było bezpośredniego dowodu, że w jaskini przebywała ekspedycja Magellana, ale było to bardzo prawdopodobne.

Następnego dnia wszystko potoczyło się jak poprzednio. Nikt nie oddalał się od obozowiska i dla bezpieczeństwa wszyscy trzymali się w grupach. Było około południa. Pozorną senność dżungli przerwało dziwne zachowanie się ptaków. Wzbiły się w powietrze z głośnym krzykiem. Naukowcy i duchowni pomyśleli, że to turyści upolowali jakieś duże zwierzę. Wtem jak spod ziemi wyrosli uzbrojeni ludzie. Było ich dużo, dziesiątki i z każdą chwilą pojawiali się kolejni. Przerażony Calen wyrzwał z jaskini dokładnie w chwili, gdy dwóch z nich przyłożyło mu nabite karabiny pod boki. Opór nie miał sensu. Pozostali byli równie przerażeni, ale bez sprzeciwu poddali się napastnikom. Przy obozowisku stali już otoczeni misjonarze i kierowca, który go pilnował. Po chwili reszty dopełnił widok wychodzących z dżungli z rękoma na głowach turystów.

- Gorzej być nie mogło. Jesteśmy w gównie po same uszy. — Szepnął profesor swoim. Ale w tej samej chwili dostał kolbą w brzuch aż pociemniało mu w oczach i zrozumiał, że właśnie wygłoszona opinia i tak była optymistyczna.

Terrorysty zgromadzili ich wszystkich razem i kazali wejść do jaskini. Razem przed nimi pokrzykując i nawołując się w swoim narzeczu kręciło się ponad stu uzbrojonych mężczyzn.

- Wszystko, tylko nie łażcie po jaskini, małpoludy! To światowe dziedzictwo! — jęknął Calen, ale dostał tylko ostrzegawcze uderzenie w twarz. Błady lecz opanowany Meier prawie niezauważalnie pokręcił głową. Rada była dobra, bo tylko przyjęcie nowych reguł mogło ocalić im życia, jeśli w ogóle były na to jakieś szanse. Większość porywaczy weszła do jaskini, która wypełniła się ludźmi. Na zewnątrz została tylko straż. Podczas gdy grupy Calena i Meiera przyglądały się porywaczom, usiłując dowiedzieć się o nich czegokolwiek: hierarchii, uzbrojenia, wyposażenia, zmęczenia, morale — czegokolwiek co pozwoli na dedukcję, misjonarze zamknęli oczy i zaczęli modlić się jak szaleni. Jeśli Bóg punktuje żarliwość, do nieba trafiają najpierw ci, którzy całe życie się bali. Początkowo niżsi w hierarchii sądzili, że rozmawiają ze sobą i zaczęli ich szturchać kolbami, ale jeden ze starszych krzyknął coś i przestali. Po chwili nawet ich strażnicy prawie przestali zwracać na nich uwagę i ich burczenie łaciny. Pozostali zaś cały czas mierzyli do reszty wyprawy z gotowych do strzału karabinów.

Terrorysty powtarzali między sobą słowo podobne do indoeuropejskiego „komendant”. Po kilku minutach przednia straż zaczęła coś krzyczeć i zapanowało podniecenie. Terrorysty ustawili się w szeregach jak regularne oddziały. Do jaskini wszedł wysoki człowiek w średnim wieku z nowoczesnym karabinem i w pełnym umundurowaniu. W przeciwieństwie do większości porywaczy był ogolony i ostrzyżony. Jego orientalne rysy nie różniły go od pobratymców, ale gdy patrzył na pojmanych na jego twarzy pojawił się niewielki uśmiezek.

- Czołem, palancie! Mamy cię w dupie, wiesz? Razem ze swoją brudną bandą jesteście zbirami, którzy niszczą odnaleziony po pięciu wiekach dowód spotkania dwóch cywilizacji!

Zleźliście się tu za nami jak robactwo! Pięćset lat! Nawet do tyłu nie potrafisz liczyć, padalcu! I przez diabła nadana banda morderców pojawia się tu nazajutrz po rozpoczęciu prac! Kurwa twoja mać!! — wrzeszczał i kłął po francusku Calen płacząc z bezsilnej wściekłości nie nad sobą i porwanymi, nie nad — bardziej niż mniej przecież — prawdopodobną perspektywą śmierci, ale z powodu zniszczenia prac archeologicznych i pozbawienia perły w koronie tej nauki całej ludzkości. Meier w pierwszej chwili był na niego wściekły, ale gdy naukowiec się uspokoił i zamilkł poczuł do niego pewnego rodzaju podziw. Tylko klechy zamknąwszy oczy mamrotały pacierze jakby byli w Notre Dame. Nikt nie zwracał na nich uwagi, jakby ich nie było.

Komendant najpierw się uśmiechnął a po chwili zachichotał. Wreszcie nie wytrzymał i zaczął zanosić się od śmiechu. Tego nikt się nie spodziewał.

- Ani chybi, musi pan być profesorem i szefem tej wycieczki. Tylko ich stać na to co chce pan widzieć jako odwagę a jest nawet nie maskowanym rasizmem. — Odpowiedział wreszcie płynnie w języku Napoleona. Calen z wrażenia i strachu zsiąkł się w gacie. Pozostali byli pod nie mniejszym wrażeniem. Także ci, którzy nie znali francuskiego rozumieli co się dzieje. Tego nikt się nie spodziewał.

- Co mam panu zrobić, aby wywiązać się z roli, którą pan mi nadał? — ciągnął komendant. — Ucinać panu palec po palcu? Oczy wydłubać? Chyba nie spodziewa się pan po mnie niczego lepszego, sądząc po powitaniu? — upewnił się, że błąd jak papier Calen pojął właśnie, że popełnił największy błąd w życiu i kontynuował. — Skąd to zaskoczenie, mój panie? Naprawdę sądził pan, że świat kończy się na słupach Herkulesa — patrząc od północy, rzecz jasna? Że w Algierii żyją brakujące ogniwa Darwina, które możecie sobie traktować jak Włosi w Etiopii? To niewątpliwie dar waszej religii, która, jak widzę, dotarła i do nas. — Spojrzał wymownie na siedzących osobno misjonarzy. — Kształćcie Pol Pota i inne kreatury a pan się dziwi, że spotyka usynowionego ambasadora Republiki, zamiast odczuwać w tej chwili dumę. Kolor pańskich spodenek aż nadto wyraźnie ujawnia pańskie uczucia. - Profesor był doszczętnie pobity. Po prostu znokautowany. Ostatnie zdanie poniżyło go przed rodakami bardziej niż sprawiłoby to brutalne traktowanie. Nie, nie był to maniak ani barbarzyńca. Kimkolwiek był ten niezwykły człowiek i czegokolwiek od nich chciał, kształcił się we Francji, a więc należał do tutejszej elity. Ale nie należał do rodziny książęcej. Był bystry i inteligentny. I miał posłuch swoich ludzi. Calen postanowił czekać na rozwój wypadków.

- Jestem komendantem Armii Wyzwolenia Ugrofinstanu. Mój ojciec był szefem armii, dawno temu. Miałem zostać ministrem, przestawić kraj na raj zachodnich turystów. Miliardy w twardej walucie. Hotele, kasyna, porty, lotnisko. Nasze najpiękniejsze kobiety dla waszej rozrywki. Pojmuje pan? I wy wszyscy? Wysłano mnie na studia do Francji. Jestem inwestycją, profesorem. Nieudaną inwestycją. Przed moim powrotem odkryto złoża złota i diamentów. Zamiast przynieść bogactwo przyniosły nędzę i terror. Obce mocarstwo dokonało przewrotu. Usunięto reformatorski rząd. Stracono przywódców, w tym mojego ojca. Ot tak sobie. Przyszedł silniejszy, zabił strażników i zagarnął skarby tej ziemi. Dla niepoznaki utworzono marionetkowy rząd pewnego psychopaty, który ogłosił się księciem i pozwala robić im tu wszystko w zamian za utrzymanie pałaców, dworu i władzy z części dochodów. Musiał pan o tym słyszeć. Nawet pan. - Faktycznie, w przewodnikach pisano coś o rewolucji, jakimś zamachu ileś lat temu. Calen nie przeczytał, tylko przekartkował. Szukał restauracji. - To się nazywa realpolitik, drodzy państwo.

- Proszę nas zabić lub uwolnić, wedle uznania. — odpowiedział wreszcie. — Ale nie zamęczać swoimi problemami. Każdy ma swoje. Nasz „książę” podnosi wiek emerytalny. — odgryzł się, ochłonąwszy z wrażenia.

- Nie mam zamiaru was zabijać. Bo to nie wszystko. Mam przyjaciół w stolicy. Oczywiście anonimowych. Mam od nich dowody na zbrodnie tego reżimu. Bo nędza i terror to nie wszystko. Poza miastami nie ma cywilizacji. Dokumentów, statystyk, urzędów. Ani spisów ludności. „Książę” pozwala swoim przyjaciołom porwać ludzi z dżungli. Oficjalnie nikt nic nie wie. Nikt tego nie zgłasza, bo nie ma gdzie. Zabierani są na lotniskowiec, który pilnuje Ugrofinstanu jak pies kości. Tam przeprowadza się na nich badania i eksperymenty. Ten psychol nazywany księciem uczynił z kraju, który mógł być bogaty, rezerwuar królików. To dużo bardziej humanitarne niż na własnych żołnierzach, prawda? Mam na to dowody. Przedstawi je pan całemu światu przed kamerą, co będzie sygnałem do rewolucji w stolicy, której przyjdziemy z pomocą z dżungli. Karta się odwróciła. Wkrótce zwyciężymy! Kaplica Magellana i wasze badania są dla nas darem niebios. Skupiona jest tutaj uwaga całego świata. I na jego oczach przeczyta pan dowody i chwycimy za broń. Prace archeologiczne oczywiście będziecie mogli skończyć. Dla własnego bezpieczeństwa — po rewolucji. Niedługo nadejdzie

sprzęt do nagrania przekazu. Wtedy przeczyta pan dowody. Kaplica Magellana w przedziwny sposób odegra swoją nową rolę. Tymczasem żegnam. Jak pan rozumie, będę miał teraz dużo pracy.

\*\*\*

Komendant wyszedł wraz z większością swoich ludzi. Wszyscy z nich wiedzieli, że wkrótce nastąpi zwrot w ich walce z siłami rządowymi. Ci, którzy pozostali w jaskini żywo rozmawiali między sobą. Na jeńców zwracali mniejszą uwagę. Wbrew obawom naukowców, teren prac pozostał nienaruszony.

Francuzi i znający francuski turyści myśleli nad sytuacją w której się znaleźli. Byli w samym oku nadchodzącej rewolucji. Gorzej — jej zapalnikiem. Pozostałym Niemcom szybko przetłumaczono słowa komendanta. Tylko duchowni nie wykazywali zainteresowania mimo, że jeden z nich znał francuski i sam przetłumaczył swojej grupie. Szukali pomocy po swojemu czyli zaczęli litanie do Matki Boskiej.

Szeptem odezwał się jeden z turystów, berliński przemysłowiec:

- Jeśli to prawda, to z całego tego ich księcia faktycznie mały Hitler. Ale dla nas to jeszcze gorzej. Bo to znaczy, że siły rządowe będą nas od teraz traktowały tak jak ich. W najlepszym razie będą coś podejrzewać i każdego przesłuchają. Ale jeśli on wie o przecieku tej mrocznej tajemnicy to umarł w butach. Jesteśmy dla niego i jego rządu groźniejsi niż rebelianci, poza samym komendantem z którym jedziemy na jednym wózku.

Zapanowało milczenie. Oni — jeńcy w rękach terrorystów, jak nazywano Armię Wyzwolenia Ugrofinstanu! — mieli się bardziej obawiać wojska niż porywaczy. Z drugiej strony, nie byłoby rozsądne uciekać bojownikom.

- Godzinę temu myślałem, że jesteśmy w rękach fanatycznych terrorystów, którzy chcą nas pozabijać. Ale teraz widzę, że możemy o tym pomarzyć. — westchnął Calen.

- Musimy uciekać. Natychmiast. Jeśli dostanie się tu wojsko, pozabiją nas. Jeśli wybuchnie rewolucja — wpadniemy z deszczu pod rynnę. - Powiedział Meier.

- Ale jakie mamy szanse, Herr Meier? Jesteśmy odcięci od cywilizacji. W dżungli rządzą rebelianci. W mieście i tak nas aresztują. Stawka jest zbyt wysoka żeby odpuścili. Sytuacja jest gorzej niż beznadziejna.

- Szansa jest zawsze jeśli chce się ją widzieć. Komendant zostawił tylko kilku bojowników. Nie spodziewają się naszego ataku. Pokonamy ich. Potem biegiem do autobusu i na złamanie karku do miasta, prosto do ambasady. Tam będziemy bezpieczni.

- Ogromne ryzyko. — Rzuciła doktor Rembur.

- Przy normalnym porwaniu moglibyśmy pokornie czekać na pomoc całymi miesiącami. Ale teraz nie mamy wyjścia. Nasi wybawiciele mogą być naszymi katami. Jeśli Calen przeczyta dowody zbrodni i nada to telewizja za kilka dni będzie tu piekło. Zginiemy w obu przypadkach. Ocena ryzyka, pani doktor, jest bezprzedmiotowa. Każda szansa przeżycia powyżej zera jest wszystkim co teraz mamy. Naszą jedyną nadzieją. Nawet gdyby nie wszyscy przeżyli. Choćby do ambasady dotarła tylko pani. Możemy polegać tylko na sobie. Jesteśmy od teraz częścią świata do którego przybyliśmy. Bezwzględna walka o byt. Czy wie pani jak o przeżycie walczą schwyte lub ranne zwierzęta? Te, którymi się pani wczoraj raczyła? One czują śmierć podobnie jak neandertalczycy. Boją się i walczą. Życie jest jedynym co mają i czym są. Rozumie pani?

Kobieta w milczeniu skinęła głową. Bała się. Wiedziała, że może umrzeć. Ale droga do życia wiodła przez ścieżkę strachu. Tak jak dla zwierzęcia przez płonącą obręcz. Jeśli życie jest wszystkim, to strach i tak jest korzyścią. Zwykła gra sytuacyjna, jak dylemat więźnia. Można to zapisać na kartce jako nierówność. Bała się, ale wiedziała, że gra jest prosta i jak ją wygrać. Zamknęła oczy i głęboko westchnęła, ale gdy je otworzyła była już gotowa. Z twarzy pozostałych wyczytać można było to samo. Skupienie, strach, ale zdecydowanie.

- Nie ma czasu do stracenia. Im szybciej tym lepiej. — Podjął decyzję Meier. — Jeszcze tylko tamci. Ej, wy! — Krzyknął po niemiecku. Niespodziewanie odezwał się przeor, któremu rozmowę cały czas tłumaczył jeden z zakonników.

- Wiem co zamierzacie. Będziemy się za was modlić. — Powiedział cicho lecz spokojnie.

- Nie mamy czasu na sprawy zawodowe. Uciekamy do autobusu. Zostało tylko kilku strażników. — Warknął szef turystów.

- Tutaj nasze drogi się rozchodzą. Dla was ważne jest to, co przed śmiercią. Dla nas — to

co po. Nasze życie to przygotowanie do śmierci i dostąpienia obietnicy zbawienia. Gdzie na całym świecie lepiej dla nas umrzeć niż w tym cudownie odnalezionym miejscu, pierwszym miejscu obecności Boga Żywego w tej części świata? W Ziemi Świętej obecność Boga czuje się na każdym kroku, powietrze jest nią przesycone niczym wilgocią i zapachem Morza Martwego. Oczywiście, czują ją tylko słudzy Pańscy. Tutaj poziom świętości jest tak samo wielki. Wszyscy to czujemy. Ta jaskinia na końcu świata to pierwsze miejsce *zdobycia* tej części świata dla Pana naszego. Jakże dziękujemy Panu, że pozwolił je nam, niegodnym robakom u stóp Maryi, zobaczyć. Modlimy się o to, by pozwolił nam tu umrzeć, choć wiemy, że na to nie zasługujemy.

W miarę jak mówił, osoby niemieckojęzyczne słuchały z niedowierzaniem a potem niesmakiem. Meier wiedział, że to koniec. Oni chcieli umrzeć tak, jak on chciał żyć. Nie byli mu do niczego przydatni. Chyba, że w tym, by pomóc im uciec kosztem pewności swej śmierci. Tak, to jedyne co mogli zrobić dla siebie nawzajem. Ale okazało się, że to nie wszystko, co przeor miał do powiedzenia. Zapalił się, wpadł w trans i mówił dalej:

- Możliwością utworzenia tu gigantycznego centrum pielgrzymkowego zainteresował się sam Ojciec Święty. Panuje tu nędza, ale za kilka lat mogą tu przyjechać miliony pielgrzymów. Cudowne uzdrowienia, msze dla setek tysięcy, miliony świętych obrazków, bazylika tu, w tym miejscu. To zmieni gospodarkę całego kraju. A do kogo ten tłum będzie się modlił, poza oczywiście Matką Boską Phata-Szuńską? Do świętych męczenników, którzy im to wszystko dali. — W jego oczach zapaliła się iskierka chciwego szału. — Do świętych, którzy całe życie oddali Bogu i skończyli je w tym miejscu! Ojciec Święty nie będzie miał wyjścia. Pracowaliśmy w tym kraju cztery lata wśród biednych. Wszyscy oni nas znają. Błagamy Cię Panie, weź nas już do siebie! Teraz, teraz! Jesteśmy gotowi! Weź nas o Panie, okaż nam łaskę śmierci. Daj nam śmierć a Twoja potęga zajaśnieje nad całym regionem i nawróci miliony! — Krzyczał już w szale.

- A cuda? — Spytał ktoś.

- Proszę się o to nie martwić. Ile potrzeba? Dwa, trzy, pięć? Naszym największym cudem jest to, że zdarzają się właśnie wtedy gdy trzeba kogoś kanonizować. Nie wcześniej i nie później i dokładnie tyle ile trzeba. Pracowaliśmy z tyloma biedakami i żebrakami! W tych sprawach Opatrzność Boża jest dla nas niezwykle łaskawa. Nawet Ojciec Święty, niech nam Bóg wybaczy, chowany jest jedynie jak cesarz. A my dostąpimy żyć prawdziwego... w obu światach. I pan chce, Meier, abyśmy się tego wszystkiego **pozbyli**? A więc idźcie. A my przygotowujemy się do tego co ma dla nas nadejść. — To powiedziawszy odwrócił się. Misjonarze ukłękli w kółku i nie zważając już na pozostałych modlili o śmierć.

- A więc dobrze. Niech i tak będzie. My będziemy żyli. — Powiedział sucho Meier, bardziej do Niemców i Francuzów niż do Polaków.

Strażnicy stali przed jaskinią. Kilku buszowało po obozowisku wykradając z paleniska wędzone mięso. Meier zarządził przegląd uzbrojenia i wyposażenia. Okazało się, że i komendant popełnił błąd, biorąc grupę turystów za część ekspedycji archeologicznej. Prawdopodobnie dlatego zostawił tylko niewielką grupę swoich ludzi, mając wszystkich za niegroźnych jajogłowych. Tymczasem turyści mieli ze sobą broń do polowań: noże i proce. Większość z nich wbrew pozorom była twardymi facetami. Zapłacili przecież dużą kasę żeby tu trafić. Ale tamci mieli karabiny.

- W konwencjonalnym starciu nie mamy żadnych szans. Musimy je wyrównać. - Powiedział Meier przeciągając ostatnie słowo.

- To znaczy? - Spytał Calen.

- To znaczy, że musimy użyć najlepszej broni. Kobiety. — Uśmiechnął się patrząc na Justinne Rembur. — Wyjdzie pani przed jaskinię i odciągnie wartowników poza widok obozowiska. My zajmiemy się resztą. To nie potrwa długo. Mam nadzieję, że ma pani wiele atutów poza intelektem.

Kobieta zagryzła wargi, ale po chwili nieznacznie się uśmiechnęła. Wyszła z jaskini. Na wrzaskliwe okrzyki bojowników odpowiedziała wysokim śmiechem. Mimo złamania zakazu żaden jej nie uderzył. Odeszła w bok. Jeńcy zobaczyli, że po chwili wartownicy dostają małego rozumu. Po pół minucie nie wytrzymali i opuścili wejście. Na to tylko czekali Meier i reszta. Wypadli do obozowiska. Dwóch bojowników jedzących ryby z rożna dostało kamieniami w głowy. Stracili przytomność. Jeden chciał wystrzelić w powietrze, ale w tej samej chwili powietrze przeszył świst i w jego pierś głęboko wbił się nóż. Wypuścił broń z ręki i upadł na ziemię obficie brocząc krwią. Dobiegł do niej Meier i wycelował w dwóch ostatnich, którzy nieopatrznie broń zostawili przy rożnie. Jeden z nich próbował rzucić się na niego i walczyć wręcz, ale jednocześnie z ukrycia skraju dżungli wynurzyli się Niemcy uzbrojeni w noże i

wycelowane proce. Opór został złamany. Dwóch ludzi Meiera chwyciło położone karabiny i razem ruszyli biegiem do Rembur. Otaczała ją w niedwuznacznych pozycjach trzech wartowników, którzy zdążyli już związać z nią duże nadzieje. Byli podani na talerzu. Nawet nie zauważyli jak trzech byłych już jeńców podbiegło do nich na półtora metra.

- Następnym razem, Meier, proszę przyjść albo przed albo po, ale nie w trakcie. - Powiedziała Justinne i poprawiła ubranie.

- Naturalnie, madam. — Uśmiechnął się. Zwyciężyli w ciągu trzech minut. Role się odwróciły. Teraz oni zaprowadzili do jaskini bojowników razem z rannym. Z obozowiska wzięli linę i związali wszystkim ręce i nogi. Odebrali im też broń palną.

- Czy teraz idziecie z nami? — Spytał misjonarzy. Odpowiedziało mu głucho milczenie. Przeor beznamiętnie wpatrywał się w krzyż.

- A więc adieu! Nie zmusimy was do życia skoro go nie chcecie. Ruszamy! Nie ma chwili do stracenia! — Zakomenderował i ruszył biegiem do wyjścia. Za nim pozostali. Wkrótce w jaskini pozostali tylko bojownicy — związani, i misjonarze - wolni.

\*\*\*

Biegli z boczem góry do pozostawionego autobusu. Nagle w powietrzu pojawił się nowy dźwięk. Warkot. Narastający. Helikopter.

- Szybko! Kryć się! Wszyscy! Szybko! — Krzyknął Meier.

Dwa wojskowe helikoptery wyłoniły się zza góry i rosły w oczach. Uciekinierzy ukryli się w ostatniej chwili. Helikoptery leciały pewnie, jakby wiedziały dokąd. „Wiedzieli! Tylko skąd? Zdjęcia satelitarne? Zdrajca wśród Armii Wyzwolenia Ugrofinstanu?” — Pomyślał Calen. — „Nieważne. Na jedno wychodzi.” Zawisły prawie dokładnie nad jaskinią z której przed chwilą uciekli. Jeden z nich miał podczepiony duży ładunek. „Co do diabła...” Odpowiedź przyszła błyskawicznie. Ładunek odłączył się od helikoptera i zleciał wprost na jaskinię. W tej samej chwili ogromna detonacja wstrząsnęła okolicą. Wybuch wyrwał ze zbocza tony darni i leżący pod nią materiał skalny. Potworna siła skierowała swe niszczycielskie ostrze w dół, do jaskini. Ta nie wytrzymała. Z hukiem część zbocza zawałiła się do wewnątrz jaskini tworząc otwór przez który wyleciały ogłupiałe nietoperze. Tony ziemi i skał przywalały bojowników miażdżąc ich i grzebiąc.

- Chcieli ich zabić. Jak najwięcej. Najlepiej wszystkich. — Szepnął Calen. Ale to nie był koniec. Drugi helikopter zawisł nad otworem i spuścił drugi ładunek. Tym razem z obu otworów — górnego i wejścia — trysnęły słupy ognia. Broń zagłady. Bomba napalmowa. W jaskini rozpętało się prawdziwe piekło. Zakonnicy spalili się momentalnie. Pan wysłuchał ich wszystkich w ciągu zaledwie godziny. Helikoptery pokręciły się trochę i odleciały. Nie było potrzeby lądowania. Zniszczenie było totalne a nikogo więcej nie było widać. Piloci mieli tylko nadzieję, że załatwili wszystkich tych przeklętych terrorystów. Że zdążyli.

- Biegniemy. Nie oglądać się. Zdaje się, że komendant mówił prawdę. Nic tu po nas. - Wrócił do swej roli Meier. Dobiegli do autobusu. Na szczęście był sprawny. Ruszyli na wstecznym. Nie było jak zawrócić. Przejechali tak ze dwa kilometry. Zawrócili dopiero na polanie. Jeden z Niemców włączył radio. Leciały jakieś ludowe piosenki. Zaczęło się! Pędzili do stolicy. A właściwie - do ambasady. Miejsca, które prawdopodobnie i tak nie było już bezpieczne, ale było jedynym w którym mogli liczyć na dalszą pomoc. Przejechali prawie na pełnym gazie połowę drogi, gdy radio nagle zamilkło. Nie było uszkodzone. I nie zamilkło tak do końca nagle. Ostatnie trzy sekundy narodowe pieśni przerwały jakby krzyki i w ostatnim ułamku sekundy — strzał. Zrobiło się straszno. Bali się. Wszyscy się bali. Zwierzęce instynkty wyłaziły na żer ich uczuć. Dopiero co cudem uniknęli śmierci w piekielnej temperaturze napalmu. Teraz cały kraj rządzony przez skorumpowanych bandytów ogarniał chaos a oni byli w nim celem numer jeden. Bardzo się bali. Przeżyli już wiele. Koszmarna podróż w rozgrzanej puszcze wydawała się teraz dziecinną igraszką. Mogli zabić ich bojownicy. Na początku. Później. Kiedykolwiek. Mógł nie udać się bunt. Zapłaciliby za to życiem. Rembur zapewne nie tylko. Cudem pokonali bojowników i po chwili nowym cudem uniknęli wykrycia. Rzeczywiście, cuda się zdarzają. Bo żyli. Nadal. Oni. Nie wszyscy.

Jechali tak szybko jak to było możliwe nie zatrzymując się. Radio milczało. Nadało jeszcze dalekie i bliższe odgłosy wystrzałów i zamilkło ostatecznie. Wreszcie wpadli na ubitą drogę do stolicy. Autobus zawył i przyspieszył do granic możliwości a raczej wytrzymałości starego silnika. Jeszcze trochę, jeszcze tylko trochę! Już nic więcej nie mogli zrobić. Po prostu

jechali. Przedmieścia zamieniły się w południową dzielnicę stolicy. Na ulicy nie było jednak w ogóle ruchu. Żadnych rowerzystów, tylko kilka samochodów spiesznie umykało z arterii.

- Musieli ogłosić stan wyjątkowy. Jesteśmy w najlepszym momencie! — Krzyknął Hans Bedermann, obecnie właściciel firmy spedycyjnej a wcześniej kierowca rajdowy, który usiadł za kierownicą. Ale to jeszcze nie był koniec. Do ambasady zostało zaledwie kilka kilometrów tej szaleńczej jazdy, gdy z ulicy poprzecznej wyjechał na arterię samochód wojskowy z funkcjonariuszami bezpieczeństwa i skręcił wprost na nich. Zaczęli machać aby się zatrzymać. Autobus zbliżał się w ogromnym tempie.

- Gracie ze mną w chickena? To zły pomysł! Trzymać się! Będzie rzucać! — Krzyknął Hans i docisnął pedał gazu poziomo do podłogi. Autobus zawył z przemęczenia i wycisnął z siebie siódme poty. Przyspieszył jeszcze kilka kilometrów. Bezpieczniacy wyciągnęli broń, ale zobaczyli, że pędzących jak rakietę kilku ton stali nic już nie zatrzyma. Kierowca wozu skręcił, ale nie zdażył. Autobus z pędem równym jadącej lokomotywie uderzył w tył samochodu. Wóz uniósł się w górę i odbił jak piłka. Przewrócił się do góry kołami i sunął po ulicy przez dwieście metrów wzniesając snop iskier. Pasażerów rzuciło do przodu, ale, ostrzeżeni, zdążyli się utrzymać. Droga do ambasady stała otworem. Wkrótce ją zobaczyli. Była jedynym budynkiem w którym i przed którym coś się działo. Reszta była wymarła. Wjechali na dziedziniec. Byli uratowani. Nie, nie byli uratowani. Nadal walczyli o życie. Tu już nigdzie nie było bezpiecznie. Jedynie szanse przeżycia wzrosły. Attache wojskowy wydał pracownikom broń z podziemnego schronu. Calen zobaczył przerażonego ambasadora.

- Panie ambasadorze! Pierre Calen!

- Żyje pan? Wszyscy żyjecie?

- Misjonarze nie żyją. My jesteśmy cali. Przyjechaliśmy, gdy zaczęło robić się nieciekawie.

- W całym tym zadupiu jest już nieciekawie. Przed chwilą terroryści z Armii Wyzwolenia Ugrofinstanu opanowali budynek radia i walczą o gmach telewizji. Podobno chcą nadać jakiś materiał, który wywoła wojnę domową. Do dzisiaj to była nasza tajemnica państwowa, ale ten cały księżę to zwykła menda finansowana z kopalni złota. Tutaj w każdej chwili mogą wybuchnąć walki. Ewakuujemy wszystkich obcokrajowców. Schowajcie się w schronie. Zaraz przylecą po nas nasi i nas zabiorą. Niech pan się nie poddaje. Wyjdziemy z tego. Wszystko będzie dobrze.

Calen uśmiechnął się i dał reszcie znak, by schować się w schronie.

\*\*\*

## Pięć lat później

Niemiecki wiceminister finansów Rudolf Meier był członkiem delegacji rządowej biorącej udział w szczycie europejskim w zamku pod Paryżem. Zwykle nudne negocjacje technokratów tym razem skończyły się wyjątkowo szybko i Meier wykroił kilka godzin na odwiedzinach swojego przyjaciela, kustosa Muzeum Narodowego, profesora Pierre'a Calena. Tym bardziej, że ten miał dla niego jakąś niespodziankę, jak mówił. Zaprzyjaźnili się pięć lat wcześniej i od tego czasu widywali się dość często.

Wieczorem wiceminister zamówił więc taksówkę i wkrótce stanął pod drzwiami domu przyjaciela.

- Pierre! Nic się nie zmieniasz! Jak miło cię widzieć!

- Tylko od zewnątrz mój drogi. Wewnątrz mam osiemdziesiąt. Wejdz.

Rozmawiali przez godzinę o tym co u nich nowego, popijając drinki. Calen dostał rok temu Złoty Krzyż Republiki za wybitne osiągnięcia naukowe i był z tego bardzo dumny. Mimo wieku emerytalnego biły się o niego wszystkie uczelnie. Z kolei Meier z bankowca zamienił się w wiceministra.

- Wiesz, Rudi, mam coś dla ciebie. Trzymałem specjalnie. — Odezwał się Francuz, gdy już sobie pogadali i popili. Podeszedł do stolika telewizyjnego i wyjął kasetę. Włożył do odtwarzacza i nacisnął play.

- To pół roku temu. Może obito ci się o uszy? Poznajesz?

Na ekranie pojawiły się mury Watykanu. Na placu jak zwykle tysiące ludzi. Machali dziesiątkami flag. Z głównego budynku zwisał wielki portret człowieka, którego obaj znali. Meier pytająco spojrzął na gospodarza. Ten skinął głową. — Patrz dalej. — Powiedział. — Kaseca była przegrana z telewizji katolickiej. Na dole przesuwano się tłumaczenie słów



ubranego na biało starca siedzącego na tronie.

„Dziś wspominamy ojca Grzegorza Wysoczyńskiego, który w szczególny sposób umiłował ludy Demokratycznej Republiki Ugrofinstanu. Niósł pomoc wszystkim biednym i cierpiącym. Gdy dowiedział się o odnalezieniu Kaplicy Magellana wyruszył oddać hołd Matce Boskiej Phata-Szuńskiej w jej dzisiejszej bazylice. Tam poniósł męczeńską śmierć za wiarę, do końca pozostając wiernym Kościołowi. Dokonywał cudów za życia i po śmierci. Uzdrawiał chorych, uratował zgubione w lesie dziecko, które samo wróciło do domu i drwała, na którego spadło drzewo. Przeto mocą naszą uznajemy ojca Wysoczyńskiego za świętego i cześć mu jako takiemu całemu Ludowi Bożemu nakazujemy”.

Następnie podświetlono wielki portret świętego. Miał wystylizowaną twarz człowieka nie z tego świata. Za jego głową włączono lampy i dla zebranego tłumu jego głowa zajaśniała blaskiem imitującym aureolę. Lud wpadł w emfazę i zaczął krzyżeć, bić brawo lub padać na kolana. Na schody do mikrofonu wystąpił mężczyzna z kobietą. Jak się okazało — pierwsza para Polski.

- Umilowany Ojczy Świąty! W swej nieskończonej dla nas hojności, dajesz nam dzisiaj kolejnego świętego, który jest dla nas znakiem i drogowskazem jak przestrzegać uniwersalnych wartości chrześcijańskich we współczesnym świecie. Jesteśmy wzruszeni i dumni, że świętego Grzegorza Wysoczyńskiego wydała polska ziemia. Podążając niezmiennie drogą twojego nauczania patrzymy dziś na tego świętego, widząc w nim ostoję norm moralnych...

- Kto to jest u licha? — Spytał Meier.

- Polski prezydent. Niezły numer, co?

- Długo tak może?

- Chyba dłużej z żoną. — Zachichotał Pierre. — Przewiń jak chcesz.

Rudolf przewijał przez dłuższy czas, ale przemówienie prezydenta trwało, trwało i trwało. Wreszcie zmieniła się scena. First Lady podeszła do starca, kucnęła przed nim i usiłowała pocałować go w latającą rękę. Wyglądało to cokolwiek groteskowo. Wreszcie jej się udało. Wstała z kućek i wróciła do męża. Kamera na podświetlony obraz. Kamera na podniesienie. Kamera na tłum. Oddalenie. Widok ogólny. Koniec. Napisy.

- Nasz dawny znajomy jest już oficjalnie w niebie. — Odezwał się Meier.

- Tak. Dopiął swego. Teraz ten obraz wisi w bazylice, którą tam zrobili, wiesz? A wiesz jak się nazywa bazylika?

- Matki Boskiej Phata-Szuńskiej...?

- ... Odkupicielki Wszeczeświata. Bingo. Wiesz co? Moje bliźniaczki właśnie skończyły Oxford. Marianna chciałaby zająć się finansami międzynarodowymi. Ale ja, kurczę, nic już na to nie mogę poradzić. Nie wiesz może jak ten temat ugryźć? Zaczekaj, zaraz przyniosę ci jej zdjęcia.

Calen wyszedł z pokoju po zdjęcia a Meier natychmiast wyciągnął komórkę. Znalazł nazwisko Karla Libknechta, niemieckiego szefa Europejskiego Banku Centralnego. Jego dawnego przyjaciela z Frankfurter Bank. To dzięki niemu został wiceministrem.

- Karl? Czołem. Słuchaj, zrobiłbyś coś dla mnie? Potrzebuję twojej przysługi a zapewniam, że się nie zawiedziesz. Moja młoda przyjaciółka właśnie skończyła finanse międzynarodowe na Oxfordzie. Ręczę za nią. Nie potrzebujesz może asystentki?

- Och, Rudi. Niby jakąś mam, ale nie jestem nią zachwycony. Do cholery, nic wiedzy. To prawie sekretarka. Jeśli ta twoja to mądra dziewczyna po Oxfordzie to niech do mnie przyjdzie. Przyda mi się ktoś taki. Robię to po starej znajomości. I wierzę ci na słowo.

- Karl, jesteś super. Dzięki.

- No cześć. Do zobaczenia.

Meier wyłączył komórkę i w tej samej chwili wszedł gospodarz ze zdjęciami córek.

- Zobacz. Otworzył album. Dziewczyna była faktycznie bardzo ładna.

- Pierre, chyba mam dobre wieści. Rozmawiałem właśnie o twoim skarbie z szefem Europejskiego Banku Centralnego.

Calen wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

- Ż... żartujesz?

- Nie. Powiedz jej, że chce ją widzieć. Masz to ode mnie.

Profesor rzucił się objąć przyjaciela i serdecznie go ucałował. Potem nalał sobie whisky i

wypił jednym haustem.

- Aleś mnie zaskoczył. Warto jest żyć, Rudolf. Niemiec zamyślił się.
- Wiesz, chyba wszyscy trzej skorzystaliśmy te pięć lat temu w jaskini. I my i on.
- Tak. Chyba masz rację.

## K O N I E C

### **Maciej Psyk**

Publicysta, dziennikarz. Z urodzenia śląszczanin. Ukończył politologię na Uniwersytecie Szczecińskim. Od 2005 mieszka w Wielkiej Brytanii. Członek-założyciel Polskiego Stowarzyszenia Racjonalistów oraz członek British Humanist Association i afiliowanego Ealing Humanist Association.

[Pokaż inne teksty autora](#)



(Publikacja: 01-07-2004)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3486) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,3486>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.  
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych

serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)